

# W STAŁYM ZAGROŻENIU

## (Wspomnienia Stanisława Walczaka o wadowickich Żydach)

Stanisław Walczak urodził się 16 października 1928 r. w Wadowicach Górnych. Ojciec miał 5-hektarowe gospodarstwo rolne. Dom z dala od sąsiadów w polu. Z Żydami chodziłem do szkoły powszechnej w Wadowicach Górnych, ale zatargów z nimi nie było. Z lekcji religii wychodzili. Do nich należała koleżanka Baila. Było ich tu więcej. Gdy zaczęli ich prześladować, współczuliśmy im, ale Niemcy za wszystko grozili karą śmierci, dlatego ludzie się bali. Jeśli ktoś odwracał się od nich, to nie z wrogości, lecz ze strachu o siebie i o rodzinę. Była rodzina o nazwisku Lind. Niemcy zdołali zabrać do getta w Radomyślu Wielkim tylko rodziców, bo synowie wiedzieli co ich czeka w getcie więc się poukrywali. Warunki życia były tam coraz gorsze, głodzono ich i poniżano, coraz częściej zabijano. Na początku Polacy próbowali dowozić i przemycać żywność, ale z czasem Niemcy zaostrzyli rygory i nawet za zbliżenie się do getta groziła kara śmierci. Nie wszyscy Żydzi mieli czym płacić, bo byli biedni, a im też nie odmawiano pomocy.

Pamiętam jak ich wywozili, popychali do stojących wozów. Wracając ze szkoły wraz z innymi dziećmi oglądałem te sceny. Najgorsi byli Niemcy z Mielca, którzy nadzorowali przebieg wysiedleń. Bali się ich wszyscy, także granatowa policja. Pozwolili im zabrać toboły i podręczny bagaż. Najmłodsza Baila pojechała zapłakana z rodzicami, a dwaj bracia ukryli się. Koczowali w zagajnikach, sprzyjał im tutejszy krajobraz, wykorzystywali nierówności terenowe i zarośla, które dobrze znali. W lecie można było wegetować, bo rozrzucone pośród krzaków pola dostarczały pożywienia. Mówiono żartobliwie, że Żydów można było spotkać częściej, niż zająca czy sarenkę. Jednak nikt nie miał pretensji i nie szedł na posterunek gdy stwierdził, że ktoś ukopał ziemniaków w jego polu i wyciął parę główek kapusty, a w rowie urządził sobie legowisko.

Mieszkańcy nie tylko tolerowali te drobne w gruncie rzeczy straty w polu, ale wynosili im co mogli, a przychodzącym w nocy do domu nie odmawiali pomocy i wsparcia. Mark Lind znalazł się u nas w Boże Narodzenie. Było nas trzech braci i zaczęliśmy się bawić w słomie. Wpadłem do dołka na kogoś, a ten poruszył się. Zadzwończyły puszki z cukierków. Okazało się, że tu spał Lind. Mama przyszła i wygnała nas. Poznaliśmy go, bo ich pole znajdowało się blisko naszego. Mama nakarmiła go. Nie wiedzieliśmy, że on tu był. Ojciec zabrał go do obory, gdzie było najcieplej. Cały czas narzekał na swoje położenie. Zapewniał, że był tu tylko trzy dni. Podejrzewam, że on nas chciał tylko uspokoić, a faktycznie nocował tu częściej i dłużej. Wiadomo mi, że Żydzi wyjmowali ruchomą deskę i wchodzili do stodoły, nie naruszając skobli i drzwi. Dla bezpieczeństwa zmieniali stodoły bez wiedzy właścicieli. Mama była przerażona i radziła mu iść. Poszedł, a za dwa dni powrócił do tej obory.

Jego widok budził grozę. Przemarznięty, brudny, głody, u kresu sił. Pilnowaliśmy obejścia i obserwowaliśmy okolice, by go tu ktoś nie zaskoczył. Mieliśmy razem z bratem Józefem kryjówkę w oborze za dobudowaną ścianą, bo brata usiłowali zabrać jako junaka na roboty. Ojciec był bardzo zmartwiony i zastanawiał się co ma robić. Czy wolno mu było narażać nas na śmierć w płomieniu?

niach. Czy gdyby się role odwróciły, Żydzi uczynili by podobnie. Matka po namyśle wpuściła go do naszego schowka i wówczas w podzięcie padł przed nią na kolana. Został do końca wojny. Szerokość schowka wynosiła 1 metr, zaś wysoko nad głową na deskach sufitu znajdowała się słoma. Pościel tu już była, bo myśmy obaj z bratem tu sypiali. Wchodziło się ze strychu nad oborą po podniesieniu ruchomej deski. Na strychu rozrzucono plewy i ściótkę.

Drugie wejście prowadziło z obory przez podkop. Pożywienie nosiłem mu w naczyniach ukrytych w wiadrze. Mieliśmy kozę, dzięki czemu wymyśliliśmy hasło – „koza wstań”. Dla niego to był sygnał, że ma wyjść. Stare naczynia oddawał, a nowe zabierał i chował się. Kubeł wynosiłem na obornik. Interesował się tym, co słychać w okolicy, co się dzieje w mieście i gettach. Informacje te zbieraliśmy bardzo ostrożnie w drodze do kościoła, w sklepie, na jarmarkach. Radia nie wolno było mieć.

Ojciec był u krawca w Radgoszczy i przyniósł okropne wiadomości. Szalał tam osławiony żandarm Guzek, tropiący Żydów i partyzantów. Na szubienicy chciał powiesić kobietę ukrywającą Żydów, ta jednak zdołała się ukryć. Ludzie zanieśli radia do jakiegoś pomieszczenia w kościele, myśląc, że nikt ich nie odkryje. Guzek je znalazł, ale skończyło się pobiciem księdza proboszcza Józefa Leśnika u którego mieszkał. Gazety mało kto czytał. Postrachem byli nie tylko żandarmi. W lasach Jam i Dulczy ukrywali się bandyci, gnębiący tutejszą ludność, rabujący i gwałcący kobiety. W zimie też kryli się u kogoś, zmieniali kryjówki, bo urządzano na nich obławy i zasadzki. Taki pościg niósł z reguły groźbę rewizji w domach. Ale znalazł się jeden odważny chłopak, Stanisław Pietras z Woli Wadowskiej, który we śnie zarębał ich siekierą. Herszt bandy pochodził z Siedliszowic nad Dolnym Dunajcem, zamordował co najmniej kilkadziesiąt osób, w tym także Niemców i Żydów.

Nasz Żyd miał jednak kontakt ze swym krewnym ukrywającym się u gospodarza Midury, o czym mówił niechętnie i z obawą. Powodów do obaw było wiele. W jakiś sposób Niemcy dowiedzieli się, że w Podborzu ukrywają się Żydzi. Niemcy i policjanci podjechali z nienacka i przeprowadzili rewizję, która jednak nic nie dała. Wiadomości mieli pewne, bo nie rezygnowali z akcji, zastanawiali się co zrobić, aby ich wytropić. Zagrozili podpaleniem zagród, ale i to nic nie dało. W końcu podpalili zagrodę i wtedy Żyd rzucił się do ucieczki. Strzały nie dosięgły go, podobno policji granatowej niezbyt zależało na trafieniu go. Wpadł w las. W domu tym pozostały same dzieci, gdyż właścicielka pojechała do miasta. Pół wsi spalili. Właścicielka wracając z Mielca widziała z daleka łunę pożaru, której przyczyny nie знаła. Uprzedzona wróciła dopiero po odejściu obławy. Okazało się, że pożary groziły nadal, ale zapobiegł im ksiądz Franciszek Chachaj. Wykorzystał fakt, że na jego plebani mieszkał Niemiec (z orderami na piersi), bardzo zawzięty i groźny. Niemiec ten groził, że spalą Wadowice Górne, a szczególnie przysiółek Wydartuch, gdzie – jak mu wiadomo – ukrywa się Żyd. Ksiądz rozpraszał podejrzania i zdołał zapobiec wydaniu takiego rozkazu. Ogarnął nas wielki strach. Inicjatywę w tej sprawie przejęła mama i kazała Żyda wysłać w pole, bo spodziewaliśmy się rewizji. Uciekinier to zrozumiał i na dwa tygodnie schował się w życie, dokąd zanosłem mu posiłki.

Najsprytniejszy i dyskretny byłem. Brata też lubił, w wolnych chwilach przesiadywali razem i zabawiali się opowiadaniem. Później wrócił do zagrody. W nocy szedł do izby, gdzie robił karbi-

dówki, miał kolbę do lutowania, lubił majsterkować i naprawiać wiele rzeczy. Miał coś w rodzaju różańca i modlił się. Przed wojną z ciekawości bywał w kościele, znał nawet pacierz. Nie miał wyraźnych cech semickich jak jego brat. Nie raz w nocy znudzony szedł w pole i stawiał kopki. Znaczne oddalenie od sąsiadów stwarzało taką możliwość. Groźne były wizyty komisji, które chodziły po domach za bydłem i trzodą chlewną sprawdzając kolczyki na uszach zwierząt domowych. Znaczki te zdejmowano z uszu większych zwierząt i przenoszono na uszy małych, nie nadających się na rzeź. Niemcy dziwili się, że cieleta i świnie nie rosną. Za ubój karano śmiercią. Mimo tego kwitł pokątny handel. Opasywaliśmy się wyrobami, np. słoniną i szliśmy do Mielca. Najbardziej baliśmy się wykrycia Żydów. Nie wiedzieli o nich nawet najbliżsi kuzyni ani koledzy.

Na ołówku pod gumką miał 20 dolarów. Obiecał nam trzy morgi gruntu, ale tylko gdy on sam przeżyje. Brat jego był w Dębicy w lagrze w policji żydowskiej i widział jak Niemcy znęcali się nad Żydami. Przeżył ofensywę styczniową 1945 r. Zginął wraz z innymi uciekającymi z lagru. Przed tą likwidacją lagru Niemcy zatruli pożywienie i wielu Żydów zmarło w mękach. Tak mówili ci, co nie jedli i przeżyli. Będąc u nas wędrował 30 km do Dębicy w odwiedziny do przebywającej w lagrze siostry. Znał tutejszą topografię, umiał obejść drogi i posterunki, korzystać z osłony jaką dawały krzaki, rowy i zaułki, bo lasów nie było. Chciał ją tu przyprowadzić i ojciec w końcu zgodził się na to. Poszedł po nią. Usiłowała uciec, ale odzieżą dotknęła drutu i wtedy rozległy się dzwonki alarmowe i tak Etką zginęła na jego oczach. Będąc w policji brat poznał jej odzież i dowiedział się o próbie ucieczki i śmierci. Obaj z bratem sypialiśmy z nim, bo ukrywaliśmy się, by nas nie zabrano. I tak był u nas od czerwca 1942 r. do ucieczki Niemców i wkroczenia Sowietów 22 sierpnia 1944 r.

Urodzony był 18 lutego 1918 r. w Wadowicach Górnych. Z początku okupacji był gościem w urzędzie gminy i policji. Rodzice mieli gospodarstwo. Podczas wysiedleń, gdy front się zbliżył, całe rodziny uciekały w pole z dobytkiem. Dotyczyło to początku Wydartucha. Schroniliśmy się z bydłem w głębokim rowie wśród krzaków. W dzień było paśliśmy na cudzych polach. Żyd pozostał w oborze, dlatego ojciec zanosił mu pożywienie. Wreszcie w nocy przyszedł do nas i ukrywał się w kopcach dwa tygodnie. I tu były chwile grozy, gdy ruski strzelali dwie godziny z katiusz w kierunku Wadowic, wyrządzając wiele szkód – np. uszkodzili bryłę kościoła, wieże i pół sklepienia. Odłamki pocisków padały na słomę nad schronem. Stojąca przed schronem butelka z mlekiem została rozbita. Fruwały grudki ziemi, kurzyło się, katiusze cięły i ryły ziemię. Ruski przyszli pijani. Idący żołnierz przywołał mnie, dzban mi podał i sam też pił. Kazał nam wyjść, dziadkowi także. Rusek pokazał balon i radził iść do tyłu. Nie było to łatwe, bo mieliśmy pierzyny, garnki i bydło. Rusek był kulawy i szedł z nami długo. Naszego Żyda zobaczyłem w drugiej wsi i on także poznał naszą kozę. Jeszcze przypominam sobie, że przed nadejściem Rusków, trzy czołgi stały obok naszego rowu i nie wypędzały nas. Nie będziemy strzelać, nie bójcie się, zapewnili nas. Gdy zagrały katiusze, czołgi strzeliły po razie i wycofały się. Po przetoczeniu się frontu wróciliśmy do pogorzelsk.

Żyd udał się do Mielca i tam spotkał innych ocalonych. Chorował na nerki. Wyjechał do Berlina i jako palacz dostał się na okręt, a po dopłynięciu do USA uciekł na ląd. Osiadł w Kalifornii i pracował jako zegarmistrz. W 1974 roku pojechałem tam na jego zaproszenie. Zaczynał pracę w zakładzie wytwarzającym części do przeszczepu serca. W czasie pięcioletniego pobytu woził mnie samochodem i pokazywał różne osobliwości, np. Las Vegas. O przeżyciach niewiele mówili-

śmy, ciekaw był natomiast co u nas słycać. Stale mówił i pisał, że zaciągniętego u nas dęgu wdzięczności nie jest w stanie spłacić. Jego problemy były jednak niczym w porównaniu z tym, co mogło by się zdarzyć, gdyby nie uratowała go nasza rodzina. W rozmowie padały z jego ust słowa: „*krew Jego spłynie na was i na wasze syny...*”. Rozpamiętywał treść próbując dopasowywać ją do jego czasów.

Medalu nie mam i nie starałem się. Spełniliśmy ludzki i chrześcijański obowiązek i jestem zadowolony, że się udało.

**Przedruk obszernych fragmentów z: Adam Kazimierz Musiał, LATA W UKRYCIU, t. II)**